Nr. 3. 7. Lutego 1873. Tom VII.

Rok XIV.
Wychodzi we Lwowie co 15 dni, to jest 7. i 21. każdego miesiąca. Redakcja i administracja przy ulicy Mickiewicza l. 24.

DZWONEK

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 4 złr. rocznie, 2 złr. półrocznie. W Prusach 3 tal r. $1^1/_2$ tal. półrocznie.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uroczystość Kopernika
na dniu 19. lutego 1872 roku.

Kiedy ojciec rodziny umiera i dzieciom swoim nic nie zostawia w spuściźnie, to nie są one tak biedne, jeżeli im w dziedzictwie piękne po sobie zostawia imię. Nad sierotami spoczywa natenczas błogosławieństwo Boże, a ludzie, choć zrazu nieczuli i twardego serca, przypomną z czasem poczciwe imię ich rodzica, jego zasługi, otworzą im serca i dopomogą do zyskania dziedzictwa, które ich ojciec postradał, szczodrą rozdając dłonią własne dostatki. Życie i koleje pewnych rodzin, podobne są nieraz do życia narodów. Polska nasza, to wielki i szlachetny rodzic, my jej dzieci, to biedne dzisiaj sieroty. Polska nasza bogata, od morza liczyła bogate spichlerze, po chleb i opiekę przychodziły inne narody, karmiła głodnych, walczyła w obronie uciśnionych, zapominając o sobie i przyszłości swych dzieci. Tymczasem biedny, a chytry sąsiad, osłabioną bojami, nierządną w własnych posiadłościach, skrępował i żywcem wtrącił do grobu. My jej dzieci, dzisiaj sieroty, na łasce we własnym naszym domu, patrzeć musimy, jak wielkie dziedzictwo ojców naszych coraz więcej upada i niszczeje. Świat dzisiaj głuchy, nigdzie pociechy, nigdzie sprawiedliwości, Bóg tylko jeden nad nami.

Ale i nam, jak onym biednym sierotom rodziny, rozpaczać nie należy, choć żyjemy w niedostatku i ucisku, bogaci jesteśmy w zasługi, cnoty i wielkie imię ojców naszych. Czyste ich imię przed Bogiem, czyste przed trybunałem sumienia narodów. Dlatego cześć nietylko tym, co sławą oręża wsławili imię polskie, ale i tym, co niosąc światło nauki, rozprószyli wiekowe ciemności i jedną więcej gałązkę dorzucili do wieńca, który ozdabia skroń Ojczyzny naszej!

Jednym z tych mężów, i to największym, jest Mikołaj Kopernik.

Jak męztwo rycerskich ojców naszych wspominane jest po wszechświecie, i to tak, że kiedy, czy to Niemiec, Moskal, Turek, czy to Włoch, Francuz lub Hiszpan wymawia imię Polaka, wyobraża sobie dzielnego rycerza, co ginie za wolność ludów, tak i imię Kopernika przywodzi na pamięć uczonym wszystkich narodów, że Polska nietylko władać umiała orężem, ale i świeciła nauką, kiedy z łona swego takiego wydała męża.

Słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, gdy naród zachowuje w pamięci wielkich swych mężów, kiedy uroczyście obchodzi ten dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzeli światło tej ziemi rodzinnej, którą sławą i chlubą swego imienia okryli.

W poczuciu tej wdzięczności i sprawiedliwości poruszyło pierwsze „Towarzystwo poznańskie Przyjaciół Nauk“ myśl tę, że na dniu 19 lutego 1873 roku należy narodowi polskiemu uczczić imię Mikołaja Kopernika, bo w dniu tym, lat temu czterysta, urodził się wielki ten uczony polski, który badając porządek Boży tego świata, śledząc obroty ciał niebieskich, odkrył wielką a nieznaną przed nim światu tę prawdę, że słońce stoi, a ziemia się obraca i przez to naukę o gwiazdach, czyli astronomią, na nowe wprowadził tory.

Odezwę „poznańskiego Towarzostwa Przyjaciół nauk“ zrozumiał naród cały, rozpoczęły się narady i przygotowania do godnego obchodu czterechsetleniej rocznicy urodzenia

Kopernika i dzisiaj, jak pewne dochodzą wiadomości, święcić będą dzień ten uroczyście dawna stolica Polski: Kraków, i Lwów, a nawet ukochana nasza, a nieszczęśliwa Warszawa. Główna jednak uroczystość odbędzie się w mieście Toruniu, jako w miejscu urodzenia tego męża, z którego nieśmiertelnym imieniem łączy się imię Polski. Tu dotąd przybędą deputacje rozmaitych ciał uczonych; do Torunia wyślą swoich reprezentantów: Lwów, Kraków i Warszawa; tu dotąd przybędą wysłannicy pobratymczego nam narodu czeskiego, a nawet, jak słychać, przybędą Rosjanie, jako przedstawiciele rosyjskich uniwersytetów. Nawet uniwersytety włoskie, jako to: rzymski, padewski i bonoński, przyrzekły na dzień ten przysłać z grona swego uczonych mężów, ażeby uczcić imię Kopernika, który i na ziemi włoskiej czerpał światło i naukę swoją. Ludno i żywo będzie w Toruniu, w tym starem, a dawniej szczero-polskiem mieście. Komitet polski, zawiązany przez polskich obywateli Prus Zachodnich, aby przewodniczyć obchodowi uroczystości Kopernika, krząta się pilnie, zaprasza gości, wyszukuje skrzętnie mieszkania, aby wszystkich pomieścić. Kto tam pojedzie, znajdzie bratnie serca i gościnne przyjęcie. Nie wszyscy udać się tam mogą, a jednak każdemu Polakowi spędzić ten dzień uroczyście należy. Sądzimy, że poznańskie „Towarzystwo Przyjaciół nauk", jak pierwsze poruszyło myśl obchodu uroczystości Kopernikowej, tak i nadal, stojąc na czele miasta Poznania, rozpisze program całodzienny uroczystości przypadającej na dzień 19. bm.

Mamy dalej nadzieję, że nasze Towarzystwa przemysłowe po miastach i miasteczkach staną na czele i przygotują się do godnego obchodu dnia tego, a tam, gdzie ich nie ma, ludzie wyższej myśli i dbali o godność narodową, skupią około siebie resztę współbraci, aby w dniu tym odżyć dawnem wspomnieniem przeszłości.

Mikołaj Kopernik, to chluba przeszłości naszej, imię jego uczone, znane po całym świecie, rzuca blask chwały na imię Polski i całej Słowiańszczyzny.

Czują to Czesi i dzień urodzin jego, dzień 19. lutego, obchodzić będą uroczyście, śpiewem, muzyką, deklamacyą, rozpamiętywaniem życia i wiekopomnego dzieła jego o obrotach ciał niebieskich. Uczeni czescy zejdą się w Pradze na wielkiej sali matematycznej w politechnice, Towarzystwo Hlahol w swoim lokalu. Towarzystwa rolnicze czeskie w Klatowie, w Pardubicach, w Przybramie, w Taborze, Pisku, w Strakonicach, sposobią się na wielką tę uroczystość, pokrewni im Morawianie, a bliscy nasi co do języka, sławić będą imię Kopernika, jak dotąd słychać, w Prerowie i Pilznie.

Przykład to piękny i rozrzewniający; sądzimy zatem; że wszędzie, gdzie polska brzmi mowa, kupić się będą wszyscy w dniu tym i sieroce swe serce krzepić wspomnieniem dni tych, w których się urodził i żył Mikołaj Kopernik — chluba narodu polskiego! *Or.*

Złudzenie Kasi.

(Ciąg dalszy.)

IV.

— Wróżbą czego?

— Wróżbą nawalnicy. Ludzie widząc coś podobnego na morzu, mówią zwykle: Będzie robota, i to ciężka! Takie to małe i białe jak baranek, zdaje się, że go można ręką objąć. Tymczasem to się zwiększa, ciemnieje, rozciąga się po całym niebie, a wówczas, bądź zdrów! Błyskawice, pioruny, wicher, cały magazyn piekielny! Trzeba się uwijać, żeby maszty się nie połamały, i Bogu dziękować, jeżeli się wyjdzie cało.

— Ah, mój Boże! rzekła Kasia przestraszona, czyliż i mój różowy obłoczek będzie tak złośliwy?

— W kraju naszym, tembardziej w obecnej porze roku, burze są rzadkie, i mojem zdaniem, nigdy tak niebezpieczne na lądzie. Lecz co prawda, twój obłoczek jest dziwny!

— Dlaczego dziwny?

— Tak myślę, przepowiada coś złego... Wolę pośpieszyć się z robotą, mam jeszcze trzy razy obrócić po gałęzie.

Po jego odejściu Kasia znów się zabrała do przędzenia, lecz patrzyła ciągle w górę, a to nie jest środkiem do posunięcia roboty i zaokrąglenia wrzeciona. Uważała, że obłoczek się powiększał i zmieniał barwę: z różowego stał się niebieskim, potem ceglastym, nareszcie czarnym, rozszerzając się stopniowo, zajął połowę nieba. Wszystko pociemniało, posmutniało, grzmoty się zaczęły odzywać.

Kasia z początku była rada temu, że mała chmurka zwiększyła się i wzmogła. — Widzę, rzekła do siebie, że mój obłoczek odmienny jest od innych. Nietylko, że go słońce nie połknęło, ale zdaje się, że to on pożre słońce. Ktoby to powiedział, że dzisiaj z rana miałam podobny obłoczek w fartuszku!

Myśl ta, wbijała ją w dumę. Gdy błyskawice coraz się stawały silniejsze, przelękła się i popędziła owieczki do domu.

— Byłam o ciebie niespokojna, rzekła matka, zanosi się na coś złego. Nie widziałam nigdy, żeby w tej porze roku burza zebrała się tak prędko i tak groźnie.

Burza była rzeczywiście straszna. Grad potłukł szyby w domostwie, piorun rozdarł wielką jabłoń w ogrodzie. Kasia nie będąc bardzo odważną, byłaby z chęcią schowała się pod łóżko; nie mogąc wytrzymać zawołała głośno: Szkaradny obłoczku różowy, gdybym wiedziała, że jesteś tak zły, nie byłabym cię trzymała w fartuszku.

Jakubowa zrazu ją wyłajała. Potem zmartwiona opowiadała sąsiadom, że jej córka ma zajączki w głowie. To jej przejdzie, pocieszali; przestraszyła się burzy.

Nazajutrz, kiedy słońce schodziło w pełnym blasku, Kasia wyszła jednocześnie na strzechę słomianą. Dom był

uszkodzony, lecz obórka niższa i zasłonięta, nie ucierpiała od wichru. Kwiatki na dachu pochylone nieco od ulewy, jaskry, śniedek biały i rożchodniki, zaczęły podnosić swe główki, by powitać słońce, zdawały się mówić do niego: Dobrze, żeś powrócił, ojcze ukochany, nie opuszczaj nas, nie wiemy co począć bez ciebie.

Kasia miała także ochotę powiedzieć: „dzień dobry“ słońcu, lecz sądziła, że się na nią gniewa, z powodu, że wypuściła chmurkę, z którą musiało się wczoraj tak ścierać. Nie śmiała zapytać matki, zajętej niżej w ogrodzie, czy można rozgniewać i przeprosić słońce? Jakubowa nie lubiła żadnych myśli i marzeń w tym rodzaju, Kasia zaś będąc posłuszną, postanowiła, więcej się niemi nie zajmować.

Dotrzymała słowa. Wychowanie kosa czas jej wypełniało; aż nareszcie ptak, najadłszy się zbytecznie placka z serem, zdechł. Kasia zmartwiła się niezmiernie, i dla pociechy chowała wróbla; ale tego znów kot pożarł. Nowe zmartwienie. Zniechęciwszy się do zwierząt, zaczęła chodzić do szkoły, tudzież nabrała większego upodobania w przędzeniu. Wzrastając, robiła się coraz przyjemniejszą dziewczynką i coraz zręczniejszę prządką.

V.

Kiedy już miała lat dwanaście, matka rzekła do niej: Czy chciałabyś pojechać gdzie daleko, i widzieć kraj inny?

— Bez wątpienia, odpowiedziała Kasia. Zawsze miałam ochotę widzieć kraje błękitne.

— Co ty bajesz mała? Niema żadnych krajów błękitnych.

— Owszem, widzę je codziennie z dachu obórki. Do koła naszego kraju zielonego, jest wielki kraj błękitny.

Ah! Wiem co chcesz powiedzieć, to ci się tak wydaje, bo jest daleko. Możesz więc zaspokoić swoje życzenia; twoja babka cioteczna Agnieszka, która mieszka daleko w górach, a której nie znasz, bo już ze trzydzieści lat u nas nie była, chce się z nami widzieć. Jestto staruszka, sama jedna, gdyż nigdy nie była zamężną: nie bardzo też zasobna, — pamię-

taj, żebyś ją o nic nie prosiła. Owszem, myśmy powinni jej ofiarować to, coby potrzebować mogła. Musi jej być nudno samej, może niema wygód żadnych.... Odwiedźmy ją, jeżeli zaś zechce z nami tutaj przybyć, zabierzemy ją z sobą, jak to jest naszym obowiązkiem.

Kasia przypomniała sobie, że rodzicie nieraz mówili o ciotce Agnieszce, ale nie rozumiała nigdy dobrze, co mówiono, i nie pytała się o żadne szczegóły. Na myśl zmiany miejsca, i ujrzenia czegoś nowego, serce jej żywiej uderzyło. Chociaż starała się być rozsądną, — ptaszki na drzewach miały słuszność nazywając ją ciekawską; była nią zawsze; nie można uważać tego za wielką wadę, — pragnęła uczyć się i oświecać.

Pojechała z matką wozem. Jechały cały dzień i noc, i przybyły do kraju górzystego, który Jakubowej wcale się nie podobał, Kasia zaś, nie śmiała przyznać się: że jej wydawał się bardzo pięknym.

Gdy wysiadły z wozu i rozpytały się o wieś, w której mieszkała Agnieszka, wskazano im drogę spadzistą, jak dach na obórce Kasi, i powiedziano, że innej niema, że koniecznie tą iść trzeba.

— A to mi droga! zawołała Jakubowa, trzeba mieć cztery nogi jak koza, żeby chodzić w tym kraju. Kasiu, to twój kraj błękitny, zadowolonaś z niego?

— Ah, tak jest! odrzekła Kasia. Matko, spojrzyj na wierzchałek góry, wszak prawda że błękitny?

— To śnieg moje dziecko, z bliska byłby biały.

— Śnieg w lecie?

— Na górze jest tak zimno, że on nie topnieje.

Chociaż Kasia myślała, że matka się myli, nic jednak nie odpowiedziała. Byłaby rada, sama tę rzecz sprawdzić i wdrapać się na górę, aczkolwiek nie miała czterech nóg jak koza.

Kiedy już przyszły do wsi, Jakubowa bardzo zmęczona, Kasia zadyszana; dowiedziały się, że ciotka Agnieszka w le-

cie tam nie mieszka, tylko we własnym domu, dalej w górach, ale w tej samej gminie; i wskazano im, w pewnej odległości, domek z dachem z desek, przyłożonych kamieniami, otoczony wysokiemi jodłami. Jeszcze była do niego godzina drogi.

Jakubowa straciła odwagę, znów bowiem potrzeba było iść pod górę drożyną, jeszcze spadzistszą i straszniejszą jak pierwsza. Miała ochotę zaniechać zamiar i powrócić do swojej zagrody, nie zawiadomiwszy nawet ciotki, że próbowała dostać się do tego kraju dzikiego. Kasia nie będąc ani zmęczoną, ani zniechęconą, dodała matce odwagi; tak więc, odpocząwszy nieco i posiliwszy się śniadaniem, puściły się w drogę. Zabłądzić nie mogły, bo tylko była jedna ścieżka; przewodnika nie potrzebowały, bo jego rozmowa nie mogła by ich rozerwać, z powodu, że narzecze, jakiem mówiono w górach, było zupełnie dla nich niezrozumiałe.

Nakoniec pomimo niebezpieczeństwa, przybyły szczęśliwie do domku o drewnianym dachu. Dokoła niego był las jodłowy, bardzo piękny i łączka, spuszczająca się pochyło, wyżej nad nią skały, które ją chroniły od zasypów śniegowych, nad skałami wysokie szczyty gór, pokryte śniegiem, przedstawiającym się naprzód w kształcie białych schodów, podtrzymywanych czarną skałą, potem zbitym w kryształy zielonawo błękitne — i to wszystko razem kończyło się w chmurach.

Teraz to już naprawdę jesteśmy w kraju błękitnym! pomyślała Kasia uszczęślwiiona, gdybyśmy poszły jeszcze trochę wyżej, dostałybyśmy się do nieba.

W tej chwili przypomniała sobie o jednej rzeczy, dawno zapomnianej, to jest o obłoczku różowem, jakby o śnie, który niegdyś się jej marzył. Widok lodnika tak ją zachwycił, że mało myślała o ciotce Agnieszce, pomimo iż była ciekawa widzieć ją i przekonać się naocznie, co to za kobieta? (C. d. n.)



Karol Libelt.

Nawiedza Bóg ludzi pojedynczych ciężko, nawiedza i narody całe. Zsyła Bóg różne i ciężkie nieszczęścia, często dla doświadczenia nas, to znów jako karę za przewinienia i jakby na odpokutowanie. Nasz naród najcięższem Bóg nawiedził nieszczęściem, bo utratą wolności i swobody, utratą Ojczyzny. Lecz upaść Bóg nikomu nie daje, zawsze zeszle jakąś nadzieję, jakiś błysk pocieszenia do zachęty i przetrwania niedoli, zeszle ludzi prawych i poczciwych, którzy wysokim rozumem obdarzeni, z sercem pełnem gorącej miłości dla bliźnich, dla dobra ogółu się poświęcają i pracują. Takich ludzi miała i ma każda część naszej rozszarpanej Oj-

czyzny, i o wielu już takich znakomitych mężach w Dzwonku opowiadaliśmy. W Poznańskiem też ich wielu było, a zacnych, jak n. p. Moraczewski, o którym niedawno pisaliśmy, jak Ewaryst Estkowski, z chłopa najlepszy i najświatlejszy nauczyciel itp. Dziś powiemy wam o jednym, mianowicie o żyjącym jeszcze obecnie Karolu Libelcie, którego postać wam także podajemy.

Karol Libelt urodził się w roku 1807 w Poznaniu, głównem mieście Księstwa Poznańskiego.

W najpierwszej jeszcze młodości, jako małe chłopię, okazywał Libelt wielkie zdolności i chęć do nauki. Rodzice troskliwi, skoro spostrzegli, że chłopak bystry ma rozum i pamięć nielada, poczęli go kształcić i jak najstaranniejsze dali mu wychowanie. Początkowe nauki, jak z dawien dawna, zwyczajem w poczciwych polskich rodzinach, dawała mu matka sama. Ona to sama wyuczyła go naprzód pacierza i o Panu Bogu, potem wyuczyła go czytać, a długiemi wieczorami uczyła go, jak wypełniać przykazania Boże, jak kochać bliźniego; w młodziuchne serduszko chłopca wpajała miłość do kraju rodzinnego, opowiadała mu o sławnych mężach polskich, i jak to żyć i pracować trzeba za młodu i przez całe życie, aby będąc Polakiem, zasłużyć sobie na imię prawego syna Ojczyzny. W siódmym roku życia umiał mały Karolek już dobrze czytać i pisać, wiedział gdzie co się znajduje, jakie miasta w Polsce, gdzie Warszawa, gdzie Kraków, Toruń, Lwów, Wilno i Kijów; wiedział kto był Lech, Krakus, Wanda, Jadwiga, Jagiełło i inni królowie polscy, kto był pan Kościuszko itp. Bywało w świąteczne dni, mały Karolek ubrany po krakowsku, z szabelką przy boku, śmiałym głosikiem opowiada napamięć piękne wiersze o królach i rycerzach polskich. Kochali go też nietylko rodzice i krewni, ale i sąsiedzi i inni dalsi ludzie, którzy go poznali. Bo też było i za co kochać chłopaka. Rozsądny, miły, dowcipny, a przytem grzeczny, posłuszny, starszych

szanuje, dla służących uprzejmy, nikomu a nawet i zwierzętom nie robił żadnej przykrości. Tak pięknie ubiegły chłopięce lata małego Karolka.

Gdy z bardzo dobrym postępem szkoły początkowe ukończył, oddali go rodzice na wyższą naukę, do szkół łacińskich, czyli do gimnazyum, pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Jakim był w domu rodziców, takim pozostał i w szkole, i tu dopiero nauki i cnota przez kochaną matkę w serce mu wpajane, piękny owoc wydały. Żadne namowy złych towarzyszy, do lenistwa lub wybryków skłonić go nie mogły. Rok za rokiem postępował w naukach, i zawsze z radośnem sercem po egzaminie wracał do domu, aby u stóp rodziców pochwalne świadectwa i nagrody za pilność otrzymane złożyć. W bardzo młodym wieku, bo mając lat 16, ukończył gimnazyum i udał się do szkół najwyższych, na uniwersytet do Berlina, głównego miasta całych Prus. Spytacie czytelnicy, dlaczego aż do Berlina, do Niemców poszedł się rozumu uczyć? Otóż wiedźcie, że wówczas jeszcze w Poznaniu takiej szkoły nie było, gdyż Prusacy nie dbali o to i nie chcieli, aby młodzież polska w kraju miała wyższe szkoły. Młody Karol z całym zapałem wziął się do nauki i wkrótce znakomitym postępem powszechuą na siebię uwagę zwrócił. Mimo to, wśród ogromnej pracy naukowej, otoczony przez samych prawie Niemców, niezapomniał o swej ukochanej Polsce i wszelkie wiadomoćci z Polski bardzo i do żywego go zajmowały.

Pódtenczas młodzież ucząca się w Wilnie, głównym mieście Litwy, słynęła z zapału do nauk, z pilności, obyczajności i miłości Ojczyzny. A Ojczyzna potrzebowała takich synów kochających, bo właśnie wtenczas car moskiewski Mikołaj wstąpił na tron i znęcać się zaczął barbarzyńsko nad naszą nieszczęśliwą krainą. Sławny nasz pisarz, Adam Mickiewicz, już nauczyciel przy szkole w Kownie, wtedy swe wiersze pełne zapału i miłości Ojczyzny drukiem ogłosił, a wszyscy Polacy, szczególniej młodzież polska, z za-

kami się dzielić i został nauczycielem młodzieży polskiej. Przytem począł wydawać książki mądre, najrozmaitszej treści. Trza było dla młodzieży polskiej książki o rachunkach, pan Libelt wnet ją napisał i wydrukował. Trza było innej znowu, to pan Libelt nie pró żnował, lecz wnet się do pracy zabierał i wydawał Napisał dzieło o nauce, „estetyką“ nazwanej, a która to nauka o wszystkich pięknych rzeczach, czy to pzez Boga stworzonych, czy też ręką ludzką utworzonych nas uczy. Dalej pisał wielką bardzo liczbę pomniejszych rzeczy, z których najpiękniejszą jest rozprawa o miłości Ojczyzny. Także napisał filozofię, to jest naukę o najwyższych rzeczach. We wszystkich dziełach jego przebija głęboki rozum i poczciwe bardzo serce, które radeby każdemu się udzielić i w każdego wlać miłość Boga, cnoty i Ojczyzny. Wśród takiej to pracy niezmordowanej żyje pan Libelt w Poznaniu, a imię jego znane nietylko w Polsce, ale i ludziom uczonym wszystkich krajów świata.

Przytem nie zapomniał on i o innych obowiązkach Polaka. Jako ojciec wychował on dzielnych synów na usługi Ojczyzny. Do ostatniej naszej walki z Moskalami w r. 1863. wysłał dwóch synów, z których jeden poległ za ojczyznę, a drugi ranami okryty do domu powrócił, i tu w ślady ojca wstępuje. Gdy na wieść o śmierci syna, matka łzami się zalała i w żalu utulić nie mogła, Libelt pocieszał ją temi pamiętnemi słowy: „Nie wymawiaj go Bogu i Ojczyźnie.“ Słowa te najlepiej odsłaniają nam szlachetne serce drogiego ziomka, który przez całe życie swoje niezmordowanie orężem, słowem, cnotą, nauką, pracą rzetelną i ofiarą własnego syna, spłacił dług, który jako Polak winien był Ojczyźnie.

Daj Boże panu Libeltowi długich jeszcze lat i piękną a pogodną starość, a dla nas niech się on stanie przykładem, jak to już od pierwszych lat dziecięcych trzeba pracować, by się stać kiedyś miłym Bogu, Ojczyźnie i ludziom!!

Niepiśmienny.

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mnie Boże,
Nic i nikomu na bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy panowie pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnym niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystko bym wiernie kładł na papierze.
Dumkę po dumce słowo po słowie!
Spisałbym widok bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy;
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptasząt słóweczka,
Ranne skowronka, Zdrowaś Marya!
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem mrucząc sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże, jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,

Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu, jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypie z pod serca mowę,
A papier milczy jakby mur ścienny,
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie schwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łątwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi, co chce dokaże!
Ja — daj mi piórko, naucz niem władać,
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę poczną powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może,
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
Książkę modlitew taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany
Możeby łezkę wyronił za mną.
Gąsko, ty gąsko, ja latem paszę,
Ja ciebie karmię, w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze! —
Toż to polecę — człek niepiśmienny.

Jaka była dawniej Szlachta Polska.

Na dworze ostatniego P. Hetmana koronnego, żył Jaksa Pliszka, w barkach szeroki, krępy, jak dąb rosochaty. Nad barkami na cienkiej szyi była mała główka, by makówka, lica zawsze rumiane, oczki czarne małe, ale bystre, ogniste.

Kiedy P. Hetman potrzebował dla poparcia swej racyi szabli, Jaksa stawał na czele rębaczów, których sam wyuczył, a wtedy biada przeciwnikom! — wszystko pierzchało przed błyskiem ich szabel, a szczególniej Jaksy. Miał on długą, zakrzywioną szablicę, którą tasakiem nazywał, zawsze ją przy sobie nosił, spał z nią nawet, i mawiał, żeby jej nie oddał za wszystkie skarby świata.

Jaksa miał lat 26, kiedy P. Hetman szukał dowodnego rębacza. Stary Pliszka, posłysawszy o tem, zawołał syna i rzekł: „No chłopcze! otwiera się dla waści pole, jam już stary, ręka mi drży, wzrok niedowidzi, oddaję ci szablę, nasz klejnot rodzinny, równy herbowi; miej w sercu moje nauki, a nie umrzesz z głodu i na fawor pański zarobisz. Siadaj ze mną na konia, pojedziem do P. Hetmana.“ Kiedy stary Pliszka zarekomendował syna na rębacza, kazał Hetman przywołać Jegomość P. Borownika, ażeby się rozprawił z frycem, jako nazwał młodego Pliszkę. Stary Pliszka uradowany tym wyrazem, wziął syna na stronę: „Chłopię moje, Pan Hetman nie wierzy, że umiesz kordem robić. Zaklinam waści, abyś się dobrze sprawił, bo inaczej klnę na moje wąsy, sto boćkowskich bizunów doma wyliczę na kobiercu“. Jaksa uścisnął rodzica za kolana, golnął kielich anyżówki dla rezonu i czekał spokojnie przeciwnika. Przybył wkrótce Jegomość P. Borownik, szlachcic łęczycki; bić po łęczycku, to jedno znaczyło, co bić się po djabelsku. „Jaśnie Panie [rzekł do Hetmana z ukłonem], służby moje na rozkazy. Słyszałem, że tu smyk jakiś ma chętkę złożyć egzamen rąbania — a który to?“ Jaksa wystąpił na środek. „To wasze! włóżcież na łep czapkę watowaną z drutem, łosie rękawice; jać tego nie potrzebuję!“ Jaksa z uśmiechem włożył rękawice, rzemyk od szabli obwiązawszy około ręki. Tu Pan Borownik zbliżywszy się do Hetmana, zapytał z cicha. „Jakie rozkazy Jaśnie Pana, czy go mam naznaczyć, czy wypłazować dla uciechy?“. Wypłazuj Waszeć, to dosyć; wzdyć to jeszcze młodzieniaszek. Dosłyszał tej rozmowy stary Pliszka, pod-

skoczył do syna i rzekł do ucha: Jakso, synu mój, w twoje ręce składam mój i całej familji naszej honor. Ten drągal ma cię za ciurę i chce płazować; zwolna mu się odcinaj, a potem natrzyj i rznij przez łeb; jednak nie zabijaj, daj mu jeno admonicyę, ażeby przeleżał ruski miesiąc. Jaksa zmarszczył czoło na przycinki Borownika i przystąpiwszy do P. Hetmana: Jaśnie Panie, czy wiele Jasny Pan ceni głowę i żywot tego warchoła? i wskazał na Borownika. A to czemu? zapytał zdziwiony Hetman. „Bo za jego dumne przechwałki położę go trupem, jeźli Jasny Pan dozwoli.“ Borownik rozśmiał się głośno, wołając: Odpuszczę ci wcześnie śmierć moję i upraszam łaski Pana Hetmana, aby temu smykowi tej satysfakcyi nie raczył odmawiać. Ale Pan Hetman zmierzywszy Jaksę okiem, począł go więcej cenić, odrzekł przeto: Naznaczyć pozwalam, ale zabijać nie! Borownik śmiał się jeszcze głośniej, stojąc z dobytą szablą. — No, zaczynać! — zawołał Hetman. Borownik pierwszy natarł, za trzeciem złożeniem chciał ciąć przeciwnika; ale Jaksa tak szparko raz odbił, że się zmięszał i przekonał Borownik, że to nie z frycem rozprawa. Szły cięcia jak błyskawice! Na łysinę i czoło Borownika pot kroplisty wystąpił. W duchu zaczął żałować, że nie wdział drucianej czapki, gdy go Jaksa parł coraz natarczywiej. P. Hetman zdziwiony, klaskał z radości, a wciąż oczy wlepiał w Jaksę, który zagrzany obecnością pańską, wśród wymierzonego cięcia wspiął się na palce uskoczył nieco, a potem ciął silnie. — Jezus, Marja, Józef! krzyknął Borownik; wypuścił szablę z ręki i upadł na ziemię, otrzymawszy dwie rany: w łysinę i w policzek. Jaksa spojrzał dumnie w około i otrał chustką szablę. Borownika otrzeźwiono i zawiązano mu rany głębokie. Pliszka przyskoczył do syna, uściskał go serdecznie, a P. Hetman rzekł: Wybornie egzamin odbyty, obciąłeś najlepszego mego gracza; mianuję wasze pierwszym rębaczem. Borownik niech będzie drugim, że się przecie jako tako odcinał. Jaksa uścisnął kolana pańskie, otrzymawszy w darze kontusz, żupan, pas

złocisty, słuckiej roboty i dzielnego konia z rzędem. Stary Pliszka dostał wójtostwo w dożywocie i odjechał uradowany, zostawiając syna na dworze Hetmana.

Huczna była biesiada u Pana Hetmana. Z Litwy, Wielkopolski i Mazowsza najechało gości, wino lało się z beczek, bo tak bywało zawsze u nas, że co z winnic wycisnęli Węgrzyni, to Polacy drogo zapłaciwszy, wypili. Książę Radziwiłł, panie kochanku, — miał sławnych rębaczy, rozkazał przeto dla facecyi wyzwać Jaksę. Pan Hetman odradzał, zaręczając, że ich obciesze, ale Książę rozdąsany odrzekł: Panie kochanku, jeźli moich Litwaków pokiereszuje, to ja go sam wyzwę na rękę. Więc w jadalnej komnacie usunięto stoły. Książę ujrzawszy Jaksę, kazał sobie podać jego szablę, a znalazłszy napis, przeczytał głośno:

Są tu zuchy, są tu smyki! Proszę, proszę na zraziki!

„Daj go katu! to waszeć, panie kochanku, nie lada kuchmistrz. Ale trzeba waszeci wiedzieć, że z litewskich niedźwiedzi niesmaczne zraziki!“ I spojrzał ukosem na Hetmana wiedząc, że go niektórzy z koroniarzy niedźwiedziem nazywali. Jaksa nie rozumiejąc przymówki odrzekł: „Jak się zdarzy, Mości Książę!“ Radziwił kiwnął na swoich i wystąpił sławny do korda P. Styrpejko, który zmierzywszy Pliszkę od stóp do głowy skrzywił ustami pogardliwie, dając przez to poznać, że mu poradzi. Za danym znakiem żwawo szły cięcia szabel, aż iskry się sypały; po pacierzu z jękiem upadł Styrpejko. Miał dwa palce obcięte i na obu policzkach dwie szramy. „Co, co! krzyknął Książę: mój Styrpejko, panie kochanku, na ziemi? Wyzywam sam waszeci!“ I od gniewu krew wybiła mu aż siną barwę na lica. Jaksa przystąpił do Hetmana po rozkaz, a Hetman na ucho powiedział: „Nie chciej się bić: ale jeźli Książę koniecznie zażąda, daj mu się ciąć gdzie lekko.“ — „Mości Książę! ja nie śmiem próbować szabli.“ rzekł Jaksa. „No, no! panie kochanku, nauczę ja waszeci robić zraziki! Mówiłem waszeci, że ze starego litewskiego niedźwiedzia nie ukroisz nic na zrazy!“

I kazał sobie podać szablę. Jaksa odbił cięcia w głowę, miał wiele razy odsłonionego Księcia, ale go nie tknął Wreszcie niby chybił szablą, a otrzymawszy lekkie cięcie po palcach, uskoczył na bok i krzyknął. „A toś mi panie kochanku, zawołał uradowany Książę. Ho, ho! Mazurek! masz panie kochanku na teraz nauczkę: na drugi raz łeb ci utnę z kretesem.“ Jaksa obwinął chustką ranę, otrzymawszy za nią 200 dukatów i dwa dzielne konie z ubraniem. — Były zawieruchy w kraju, liczne wiązano konfederacye. Stary Pliszka należał do jednej, wezwał więc syna do siebie. Posłuszny opuścił dwór, przybył do ojca. Garstka walecznych zamknęła się w murach Częstochowy. Stary Pliszka w pierwszej utarczce zginął, Jaksa zapłakany po świeżym ojca pogrzebie, stał ze zwieszoną głową, czatą na murach. Zdala świeciły ognie nieprzyjacielskie. Stał z dobytą szablą, którą tyle zyskał sławy i mówił sam do siebie: Miły Boże! na cóż się zda teraz siła i zręczność, po co szablę dźwigać? mój rodzic tak dzielnie rąbał, a zginął od kuli, nie ujrzawszy przeciwnika. I ja z tych murów cóż dokażę, kiedy nie dosięgnę nikogo końcem mego tasaka? Schować lepiej w pochwę oręż nieużyty, niż go nosić dobyty, chyba dla parady. Włożył szablę w wężową pochew, nacisnął czapkę na uszy począł odmawiać wieczorne godzinki. O pół nocy odebrał rozkaz, by być w pogotowiu do wycieczki z fortecy Stał właśnie przy ognisku. „Z jakąż bronią wyjdziemy?“ zapytał. Wyostrzyć szable, odrzekł dowódzca, bez strzału cichaczem napadniem. Więc choć raz przed śmiercią sztuka moja na coś się jeszcze przyda, zawołał w uniesieniu Jaksa. Rodzicu mój, tąż szablą, którą dostałem od ciebie, pomszczę się twej śmierci. Patrzta (tu dobył z pochwy), ile ma szabla szczerbów, a nie darmo nosi napis na sobie. I przeczytał głośno i dobitnie:

Są tu zuchy, są tu smyki! Proszę, proszę na zraziki!

Rozśmiali się towarzysze przy ognisku; a jeden z nich rzekł: masz teraz bracie porę narobić zrazików. Pomoże

mi w tem łaska Boska i Orędowniczka Najświętsza Marya Panna, odpowiedział Pliszka, przywięzując rzemyk od szabli do ręki. Nigdym nie lubił ognistej strzelby, bo to broń zdradliwa, tam nauki, ani siły, ani zręczności nie potrzeba; ale tu (i machnął szablą) sam tu na oczy zagram im szarabandę. Przeznaczony oddział wyszedł cichaczem z fortecy, napadł na nieprzyjaciela i rzeź okropną sprawił. Właśnie w tę dobę miesiąc wyszedłszy z za chmury, rozjaśnił pomrokę nocy. Dowódzca oddziału widział zawsze na przedzie z błyszczącą szablą rozległego wzrostu szlachcica, a każde cięcie jęk wyciskało. Jaksa był w swoim żywiole: nie pleśniał na murach jak stara cegła, ale oczami szukając przeciwników, płatał potężne zrazy. On głosem nawoływał do kupy, a po dwugodzinnej walce, ostatni wracał w mury Częstochowy. Drugiej nocy stał jak dawniej na murach, gdy nieprzyjaciel nadedniem szturm przypuścił. Walka zawrzała krwawa. Jaksa stał nieporuszony, z gołą szablą, po drabinach darli się szturmujący; on spokojnie patrzał, szli więc śmiało; ale gdy zmiarkował, że ciosu nie chybi, kiedy wychylił który głowę, lub rękoma za mur schwycił. Pliszka ciął, a łeb spadł, lub obcięte ręce zostawały na murze. Gdy napróżno po tej drabinie usiłowano wedrzeć się, oficer kazał kilku razem zmierzyć do stojącego. Stuknęły wystrzały, upadł Jaksa w piersi ugodzony. Odparto szturmujących, a kiedy zakonnicy grzebali ciała poległych na murach, znaleziono w kontuszu szaraczkowym szlachcica, co krzepko trzymał w ręku szablę zbroczoną do połowy. Jeden z nich ujrzawszy napis wyryty, przeczytał:

Są tu zuchy, są tu smyki, Proszę, proszę na zraziki.

Stary jeden szlachcic usłyszawszz te słowa, wybiegł z gromady swojej: „Gdzie ta szabla z takim napisem?“ Zakonnik wskazał trupa. Szlachcic ukląkszy nad martwemi zwłokami, w głos zapłakał. Niech Bóg twej duszy da święty i wieczystu pokój! zawołał łkając; żegnam Cię, miły bracie! Umierasz z tą szablą w ręku, która cię sławą okryła.

O, zakopię cię w ziemię wraz z twą karabelą; nie dotknę jej ręką, bom nie godzien! Na głos rzewny starca zbiegła się szlachta i okoliła wiankem. Patrzcie, mówił dalej, zginął nasz brat, najsławniejszy rębacz w całej Polsce, oto martwe zwłoki Jaksy Pliszki, co w młodości obciął mnie starego, mnie na dworze p. Hetmana pierwszego rębacza, Jana Borownika. Z początku sierdziłem się na ciebie, miły bracie, ale potem pokochałem z serca. O bo panowie bracia ze swoim tasakiem Jaksa jak panna do tańca ochoczo występował. Zanieśmy go bracia na naszych barkach na miejsce wiecznego odpoczynku; oddajmy zwłoki matce ziemi świętej, pochowajmy go z tą szablicą, bo któż z nas ma godne ręce, aby ją jak on piastował. Nikt, nikt! zawołali wszyscy chórem. Zagrzebali go więc w ziemię i ukląkłszy na świeżo usypanej mogile, modlili się za duszę: „A światłość wiekuista niech mu świeci na wieki wieków. Amen.“

O cieple.

Ciepło i zimno spostrzegamy czuciem. Biorę klucz od owego stolika i czuję, że jest zimnym. Potrzymawszy go przez czas niejaki w ręku, nie powiem wreście, że jest zimnym; tak jest ciepły, jak moja ręka. Musiało tedy z ciepła mej ręki cokolwiek przejść w klucz; jakże bowiem inaczej stałby się był ciepłym? Odtąd zaś, jak ma równe z mą ręką ciepło, już więcej w niego ciepła nie wchodzi. — Zatem czuję, że przedmiot, który mię porusza, w tenczas jest zimny, gdy z mego ciała ciepło do niego przechodzi. To zaś ustaje, gdy owo ciało tak jest ciepłe, jak moje. Gdy rękę na rozgrzany piec kładę, ciepło z pieca w moją rękę przechodzi; gdy zaś zimnego pieca się dotykam, przechodzi w piec ciepło z mej ręki. W pierwszym razie mówię, że piec jest ciepły, w drugim, że jest zimny. Przy uchwyceniu gorącego przedmiotu, bardzo wiele ciepła w rękę przechodzi

Gorąco sprawia nieprzyjemne uczucie, boli; jest to wyższy stopień ciepła. Ciepło pieca czujemy często w znacznej odległości; palący się ogień rozszerza swe ciepło jeszcze dalej, we wszystkich kierunkach, najbardziej zaś do góry; ztąd przypuścić możemy, że ciepło, jak powietrze, jest rozciągłopłynnem. Ciężkość wody i powietrza da się oznaczyć, o ciężkości ciepła nic nie wiemy. Stąd mówimy, że woda i powietrze da się zważyć, a ciepła nie można. — Dajmy na to, że mamy dwa kawałki drzewa; są one zimne. Trę je więc mocno o siebie i stają się ciepłemi. Skądże więc naraz bierze się ciepło? Z zewnątrz zapewne nie, musiało ono już być w drzewie? czuć go tylko nie było można, nie spostrzeżono go. Przez tarcie wystąpiło. Lejąc zimną wodę na zimne niegaszone wapno, widzę, jak się zaczyna burzyć, i obadwa ciała stają się gorącemi. Gorąco nie mogło się z jednego do drugiego dostać; skądże się wzięło? Zapewne ono tam już było, pzzez połączenie wody z wapnem, dopiero je spostrzeżono, dopiero się ono uwolniło, wydobyło na wolność. — Nawet lód można rozgrzać mocnem tarciem; co jest dowodem, że temu tak zimnemu ciału na cieple nie zbywa. Z tych doświadczeń wnioskujemy, że wszystkie ciała ciepło w sobie mieszczą: tylko związane jest niekiedy i trzeba je, jeżeli je postrzedz mamy, dopiero w poruszenie wprawić, albo uwolnić. Rozróżniamy zatem wolne i związane ciepło. Pierwsze znachodzi się w ciałach ludzi, zwierząt ssących itd., drugie w roślinach i kruszcach.

Jakżeż powstaje wolne ciepło w ciałach? 1) Przez światło słoneczne. Głównem źródłem ciepła na ziemi jest słońce, którego promienie ciepło wzbudzają. Najsilniej działają promienie słoneczne, gdy prostopadle na ciało padają; im ukośniej płaszczyzna ku słońcu leży, tem mniej zostaje ogrzaną. 2) Wzbudzanie ciepła przez tarcie, uderzenie, bicie, widzimy przy wielu sposobnościach. Ręce nasze stają się ciepłe, jeżeli jedne o drugą trzemy. Osie prędko jadącego wozu zapalają się. Kamienie młyńskie, które próżne poru-

szamy, mogą się również zapalić. Gdy piłkę, pilnik, albo świderek uchwycimy, i to w miejscu, gdzie te narzędzia mocno się tarły, oparzymy sobie nieraz rękę. Kawałek żelaza, które zimno na kowadle ciągle kujemy, rozpala się zupełnie. 3) Że ciała przez mieszaninę ciepłemi się stają, widzieliśmy przy niegaszonem wapnie. Gdy opiłek żelaznych w szklankę włożymy i na nie wlejemy serwaseru, w momencie powstaje burzenie się z tak mocnem rozpaleniem, że szklanki uchwycić nie można. Zapalenia się przez różnogatunkowe, ze sobą połączone materye, często się też w naturze zdarzają. Takim sposobem siarka, żelazo i wilgoć w ziemi, są przyczyną trzęsienia ziemi i gór ogniem wybuchających. Że kupy gnoju, wilgotne siano i mokre zboże samo przez się mocno się rozgrzewa, a nieraz płomieniem się pali, znaną nam jest rzeczą. 4) Wreszcie dzieje się rozgrzanie przez udzielanie. Piec dostaje ciepła i sam go znów udziela powietrzu w izbie. Każde naczynie do gotowania staje się gorącem przez udzielenie, jako też wszystkie w niem znajdujące się ciała.

Dajmy na to, że teraz mamy zimę, że na owem oknie leżą nożyczki, drewniany linia i książka. Dotykam się tych przedmiotów jednego po drugiem i spostrzegam, że nożyczki są daleko zimniejsze jak linia, ta znowu cokolwiek zimniejsza, aniżeli książka. Kładę potem te rzeczy na piec gorący i dotykam się ich po chwili. Spostrzegam, że papier mniej ciepły jak linia, nożyczki zaś są gorące. Jeżeli rozgrzane ciała w jednym czasie na stół położę, żelazne nożyczki prędzej ostygną, niżeli linia i książka. Wszystkie kruszce mają tę własność, że chciwie w siebie cieplik biorą i bardzo się rozgrzewają, lecz udzielają go też zaraz powietrzu i innym przedmiotom i zaraz stygną. Ponieważ tedy ciepło tak prędko do siebie przyjmują i znowu dalej rozkrzewiają, dobrymi przewodnikami ciepła je zowiemy. Te zaś ciała, co to niechętnie czynią i nie w takiej ilości, zowią się złymi przewodnikami ciepła, jako to: drzewo, słoma,

bawełna, wełna, jedwab, włosy, pierze, węgle, popiół, powietrze itd. Dobry przewodnik ciepła źle przechowuje ciepło, a zły przewodnik ciepła, dobrze ciepło przechowuje. Najgorszym przewodnikiem ciepła jest śnieg. Że on rośliny, osobliwie zaś młody zasiew, jakby dobroczynna mata, przed szkodliwym wpływem mrozu strzeże, wiadomo powszechnie. Dachy słomiane w lecie chłód dają, w zimie ciepło. Latem nie przepuszczają zewnętrznego powietrza, którego tylko mało w siebie przyjmują; w budynku zatem chłodno pozostać musi. Podczas zimy nie dozwalają również odejścia ciepła z zewnątrz domu. Stąd też drzewa i studnie zimą słomą okrywają, aby wewnętrzne ciepło skupione utrzymać.

Wiemy już, że powietrze przez ciepło się rozciąga: lecz i z innemi ciałami dzieje się toż samo. Kruszczowa kula, która dokładnie w rurę wchodzi, staje się za wielką na otwór, skoro się rozgrzeje. Pierścień, co się właśnie na palec stosuje, z trudnością, albo wcale się zdjąć nie da, skoro się ręka rozgrzała. Rozgrzawszy wodę w rurce szklannej, widzimy dobrze, że się podniosła, gdy ostygnie, spuszcza się na dół. Przez rozgrzanie zatem rozciągają się ciała i stają się większemi; przez ostygnienie ściągają się i dawne swe miejsce zajmują. Kawałek wilgotnego drzewa przecież po uschnięciu maleje, jako też jabłko po upieczeniu. To stąd pochodzi, że wilgoć w porach będąca wyparuje, części coraz się bardziej ze sobą ściskają, tym sposobem ciało co do obszerności traci. Lecz czemuż kawał lodu większym jest, aniżeli ilość wody, z której powstał. Albowiem przy tworzeniu się lodu wiele próżnych miejsc powstaje, których dawniej woda nie miała.

Ciepło niektóre ciała tak rozciąga, że związek ich części prawie zupełnie się znosi; stąd przemienia się ołów w płyn, to samo dzieje się z łojem, masłem. Takie ciała należą do topnistych. Niektóre, aby się stopiły, miernego tylko potrzebują ciepła, inne mocnego gorąca. Jeżeli w roztopionym kruszcu ciepło znowu się wiąże, jeżeli stygnie,

tężeje na nowo. I łój tężeje i woda, lecz dopiero po znacznej utracie ciepła w lód się zamienia. Jest to skutkiem natury, podług którego zimno ściąga.

Woda i inne kropliste płyny w naczyniu do ognia przystawione, pokazują po niejakim czasie na swej powierzchni walowate poruszenie; gotują się albo wrą, przyczem część staje się parą i w górę ulatuje. Para z początku, gdy wolno w górę wstępuje, prawie jest niewidzialną i tak rozciągnioną, że tylko o połowę lżejszą jest od powietrza; lecz może się stać widzialną, jeżeli ją chwytamy i w ciaśniejsze sprowadzamy miejsce, gdzie się ściska. Przez gorąco przemieniają się podług tego kroplisto-płynne ciała w rozciągło płynne, albo powietrze. Tymczasem toż samo dzieje się na wolnem powietrzu z wodą, choć się nie gotuje; mówimy wtenczas, że wyziewa. Im większe jest ciepło, a rzadsze i bardziej suche powietrze, tem mocniejsze są wyziewy. Dzieje się to nawet podczas tęgiego mrozu. Wtenczas widzimy, jak się nad jeziorami, bagnami, stawami i rzekami para unosi. Ponieważ ta powietrze nagle rozrzedza, i ciepło się przez to rozrzedza, stąd też w niem chłodno albo zimno być musi. To stwierdza także doświadczenie. Przy zmianie ciał kroplistych na rozciągło-płynne, czujemy zimno. Po skropieniu posadzki w ciepłej izbie, robi się zaraz chłodno. W mokrych sukniach jest nam zimno, gdyż wilgoć ulatuje. Gorączka chorego na febrę prędko ustaje, skoro tylko poty wystąpią, gdyż te zaraz zaczynają ulatywać.

Badacze natury wynaleźli instrument, którym ciepło mierzyć można, nazwany stąd ciepłomierzem, czyli termometrem. Robią go następującym sposobem: Daje się w hucie szklannej do cienkiej szklannej rury mała kula przez wydęcie przyprawić. W tę kulę i niższą część rurki kładzie się żywe srebro. Wyprowadza się potem z nienapełnionej rurki powietrze przez gorąco i zasklepia się przy stopnieniu u góry otwór. Kładzie się potem kula w lód potłuczony i nim się okłada. Przez zimno ściąga się żywe srebro i spa-

da bardzo nisko w rurce. To miejsce, gdzie stanie, oznacza się dokładnie przez owinioną, cienką nitkę i zowiemy je punktem marznięcia. Potem rozgrzewa się zwolna kula i rurka, i zanurza się w wrzącą wodę. Natenczas gorące rozszerza się żywe srebro, które się znacznie w rurce podnosi. Najwyższy punkt znaczymy znowu i to jest punkt wrzący. Przestrzeń między punktem marznienia, a wrzącym, dzieli się potem na 80 części równych, stopniami zwanych. Wreszcie umacniamy rurkę i kulę do wąskiej deseczki, albo tabliczki metalowej, na której oznaczają się stopnie. Ze stanowiska żywego srebra w rurce, łatwo poznać można, czy ciepła w powietrzu przybywa, czy ubywa. Czujemy przyjemne zewnętrzne ciepło, gdy jest 16 albo 15 stopni. W zimie zaś tak ubywa ciepła, że żywe srebro pod punkt marznienia spada, stąd też oznaczenie stopni i pod nim się ciągnie. Gdy żywe srebro 12 stopni pod punkt marznieniia spada, już tęgie zimno mamy, największe w naszych okolicach jest przy 24. stopniach.

O zmyślności psów.

Pies policyanta. Doktor Franklin udziela ciekawych szczegółów o psie znanym pod imieniem Peeler'a. Przed kilku laty zamordowano policyanta w Kingstown; najgłębsza tajemnica pokrywała okoliczności zbrodni dotyczące. Sąd rozpoczął śledztwo. Piesek z gatunku bonońskich, żwawy i szperający, kręcił się ciągle w pokoju, w którym leżała ofiara, aż zwrócił na siebie uwagę inkwirenta, i ten zapytał się urzędnika z policyi: „czyj to jest pies?“ — „To pan go nie zna? odrzekł, sądziłem, że wszyscy znają Peeler'a, psa policyjnego“ i na żądanie opowiedział jego historyę. Piesek ten był raz napadnięty na ulicy przez ogromnego neffundlanda i o mało nie stał się jego ofiarą, lecz nadszedł policyant i obronił go. Od tej chwili Peeler przejął się taką

wdzięcznością dla wszystkich w ogóle policyantów, że ich nie odstępuje; to jednemu, to drugiemu zawsze towarzyszy, nawet pomaga do wynalezienia i ujęcia naruszycieli porządku publicznego. Obchodzi wszystkie stacye policyjne, idzie sam na dworzec kolei żelaznej, wsiada do wagonu pierwszej klasy i udaje się do Black-Rock; zwiedziwszy tę miejscowość, idzie dalej do cyrkułu Boosterstown, patrzy w oczy mieszkańcom, potem czeka na pociąg i przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, powraca do Kingstown.

Peeler umiejąc być wdzięcznym i przywiązanym, z drugiej znów strony miewa swoje antypatye. Pewnego człowieka tak nie cierpi, że gdy go raz spotkał w wagonie, wolał wysiąść i oczekiwać na pociąg następny, niżeli jechać w niemiłem towarzystwie. Wszystkich zaś z policyi lubi niezmiernie, skacze i raduje się, gdy kogo w tym mundurze zobaczy; swoich przyjaciół poznaje nawet pod ubraniem cywilnem. Za takie przywiązanie opłacają mu pieszczotami, jeden go poklepie, drugi pogłaszcze, inny znów da mu jaki dobry kąsek. Widziano go potem jak smutny i znękany szedł za pogrzebem zabitego w Kingstown policyanta.

— Anglicy, gdy wychodzą z domu, zawsze są dobrze wyczesani i wyczyszczeni. Pewien Anglik, będąc w Paryżu, przechodził przez most, na którym jakiś pudel pobłocił mu ślicznie wyszuwaksowane buty; wytarł o nie swoje łapy. Poszkodowany przystąpił do człowieka stojącego na moście ze szczotkami, aby wypadkowi zaradził. To samo powtórzyło się nazajutrz, jakoż i dni następnych. Anglikowi wypadła tamtędy droga. Nareszcie powziąwszy podejrzenie, zaczął na psa nieznacznie uważać, i przekonał się, że pudel maczał łapy w błocie na wybrzeżu, powracał na most i wycierał je o przechodnia, najlepiej ubranego. Anglik przystąpił do dekrottera*) i wydobył z niego wyznanie, że w istocie swego psa wyuczył do napędzenia mu praktyki. Zachwycony cu-

---

*) Co czyści buty.

dzoziemiec zmyślnością pudla, kupił go i zabrał z sobą do Londynu: W pierwszych dniach trzymany był na uwięzi, lecz jak go tylko puszczono, uciekł; we dwa tygodnie dostał się do dawnego pana i przy nim pełnił dalej swoje rzemiosło.

Sonnini wspomina o psie znanym w Paryżu w r. 1860, który przeżył lat kilka na grobie swojego pana. Żadne usiłowania odciągnąć go ztamtąd nie zdołały; zabrany czasem przemocą, znów powracał na swoje stanowisko. Mieszkańcy bliscy cmentarza, z litości przynosili biednemu zwierzęciu żywność.

Za czasów strasznych wydarzeń rewolucyjnych, pies szedł za swoim panem, skazanym na rozstrzelanie. Po egzekucyi położył się na trupie i nie chciał odejść; nie jadł, nie pił i w tydzień tak z głodu jak i z umartwienia życie zakończył. (Dok. nast.)

Piosnka mazurska.

Hej Mazury, hejże ha!
Póki wiosna życia trwa,
Póki serce żywo bije
Póty człek szczęścia użyje,
Więc parobki dalej w hopki
Gdy muzyka gra.

Już nam szumno zagrzmiał bas —
Nuże z góry nuże wraz!
Abośmy nie w chłopa chłop.
Ty bracie w podkówki hop!
Choćby miała pęknąć stal,
Ty bracie w podkówki wal,

Dalej, dalej, dalej, dalej
Patrzcie jak się mazur wali,
Bo Mazury czeszą z góry
Aż patrzeć nie żal.

Dajmy sobie bratnią dłoń
Niech znój ciężki zrosi skroń

My za ręce się trzymajmy
I w podkówki wybijajmy,
A więc chwacko, dziarsko, gracko
Stalą w stalę dzwoń.

Niech znójnie odstrasza nas.
Nuże z góry, nuże wraz
Albośmy nie w chłopa chłop
Nuż z góry w podkówki chop!

Dalej, dalej, dalej, dalej i t. d. i t. d.

To mi życie, to mi raj
W to mi Maćku, w to mi graj
Są tu chłopcy chleb i kasza
Piękna żyzna, Polska nasza
Więc wesoło, dalej w koło
Nasza ziemia raj

Miło nam w tym kraju żyć
Miło w podkoweczki bić
A ktoby chciał przerwać pląs,
Na bok z brodą, wara wąs!

Dalej, dalej, dalej, dalej i t. d. i t. d.

Hej cobym ja za to dał,
By ten taniec wiecznie trwał,
Bym mógł nucić mojej Kasi:
Górą nasi, górą nasi!...
A batogi biorą wrogi,
Bym się z wrogów śmiał.

Wszystkiem rządzi zmienny los
Przyjdzie czas gdy krzykniem w głos,
Dalej bracia w świetny tan
Zmienił się już rzeczy stan.

Dalej, dalej, dalej, dalej
Patrzcie jak się Mazur wali
Bo Mazury czeszą z góry
A któż teraz pan?

Gospodarstwo.

— **Myszy**. Dyrektor zakładu niemieckiego Michelsen kótko opowiada wszystko, co o szkodach przez myszy zrządzonych i o sposobach tępienia myszy mówiono i pisano w następujących kilku zdaniach:

1. Po wszystkie wieki wyrządzały myszy szkody i w przyszłości takowe wyrządzać będą, skoro tylko będą warunki sprzyjające ich mnożeniu się.

2. Kiedy się namnożyły myszy do tego stopnia, że się stają plagą, to już wtenczas tak mało jest środków przeciwko nim, jak przeciwko cholerze, tyfusie, ospie itp

3. Główną rzeczą są środki przeszkadzające rozmnożeniu się myszy, a mianowicie: ochranianie naturalnych wrogów myszy, ptaków i zwierząt i tępienie myszy, ile i kiedy można, szczególnie zaś na wiosnę.

4. Chcąc, aby tępienie myszy na wiosnę było skutecznem, trzeba żeby je wszędzie i racyonalnie tępiono, nie narażając przez to życia ludzi i użytecznych zwierząt.

5. Na wiosnę płacić dobre nagrody za zabijanie myszy, nie zaszkodzi; nagrody te będą małe w stosunku do szkód, jakie w jesieni wyrządzą myszy i do wydatków na truciznę.

6. Dotąd trucie myszy w jesieni jest niedozwolonem, najczęściej też jest to środek spóźniony i koszta oraz szkody będą większe, niźli korzyści.

Rozmaitości.

* **Wychodźtwo ludności polskiej** z Poznańskiego i Śląska pruskiego do Ameryki przybiera wielkie rozmiary. Dzienniki tamtejsze rozbierają ciągle tę sprawę i obmyślają środki, jakby temu zapobiedz. Najwięcej uwodzą lud wysłani ajenci, którzy ciągną zysk z oszukiwania wychodźców, więc im obiecują złote góry za morzem. Lecz większa część zwiedzionych żałuje swej lekkomyślności

przybywszy za morze. Wtedy przekonują się, że pracowity i gospodarny człowiek może i w Europie jeszcze dorobić się mienia.

* **Nowy sposób pozbycia się żony.** Misyonarz amerykański, który niedawno wrócił do kraju z jednej z wysp Australii, opowiadał co następuje:

Pewnego dnia przybył do mnie mieszkaniec wyspy z dwiema kobietami, prosząc o danie mu ślubu. Jedna z kobiet była stara i brzydka, druga przeciwnie piękna i młoda wyspiarka.

— „Religia moja“ — odpowiedziałem przybyłemu, — „zabrania mieć dwie żony, i dlatego nie mogę waszej prośbie zadosyć uczynić. Wybierzcie jednę z tych kobiet, z którą będziecie dzielić troski i przyjemności życia.“

Zasmuceni moją odpowiedzią odeszli.

Po dwóch tygodniach zjawia się znowu ten sam krajowiec, lecz tylko z jedną kobietą, z młodą i ładną, prosząc o ślub.

— „Cóż się stało z drugą kobietą?“ — zapytałem.

— „Zjedliśmy ją,“ — odpowiedzieli, wesoło się uśmiechając!“

„Macie wiedzieć, że w Australii żyją jeszcze takie narody, które pożerają ludzi.

Redaktor i wydaw. odpowiedź. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“